

— Ale kwasieć się w hotelu, mamo, to zbytek nudów — zaśmiał się — weźmiemy bilety po rublu i teatr przypomni nam czasy warszawskie.

— Ja nie pójdę — oświadczyła matka — chcecie, idźcie sami.

— A ty, Irenko? — zwrócił się do siostry.

— Poszłabym, gdyby mama pozwoliła.

— Ależ idź, Irenko, trochę się rozerwiesz, zabawisz.

— A co mama będzie tu robiła? Wolę już zostać?

— Nie, Irenko, idź. Mam kilka listów do napisania i zrobię rachunki.

— Sabinko! — przemówiła radczyni poważnie — pozwolisz, że zwrócę ci uwagę na pewne rzeczy.

— Proszę cię... słucham.

— Otóż u nas, w Krakowie, nie wypada, ażeby młoda panna szła sama z mężczyzną do teatru lub na spacer. Ja nie pozwalam Klimci chodzić z Władysiem, chociaż zna ich cały Kraków. To nie uchodzi.

— Ależ Paulisiu, to przecież brat.

— Moja kochana, czy on ma to napisane na czole? A na pannę rzuca to złe światło. Moja Klimcia wychodzi albo ze mną, albo ze służącą.

— Nie widzę w tem nic złego, Paulisiu, że Irenka idzie z bratem.

— A ileż razy sama chodziłam do teatru! — zawołała Irena — i nic mi się nie stało. Takie skrepowanie to przeżytek niewolnictwa niewiasty.

— Nie dziwię się tobie — odparła z godnością radczyni — boś młoda i niedoświadczona. I może u was, w Warszawie, są takie emancypacje w modzie, ale nie u nas.

— Ja, Irenko, nie poszłabym sama nigdy — odezwiała się Klimcia — lada kto może mnie zaczepić, iść za mną, narzucać się.

— I wielkie rzeczy — zaśmiała się Irena swobodnie — że jakiś głupiec i gbur może mnie zaczepić, ja mam być niewolnicą i wlec się z jakąś duenną! Ani myślę, zawsze sobie poradzę sama.

— Irenko, to nie ma sensu za grosz — oburzyła się ciotka — ty nie masz pojęcia, do czego mężczyźni są zdolni. I proszę cię, nie psuj mi Klimci takimi przewrotnymi zasadami.

— Mameczko — zaśmiała się Klimcia — ja przecież sama wiem, co wypada, a co nie.

— To prawda moje dziecko — spojrzała rozczerwiona na córkę — zresztą przepraszam cię, Sabinko, że wtrącam się w nieswoje rzeczy. Tyś matka i sama wiesz najlepiej, co robisz. Ależ zagadałyśmy się — wyjęła złoty zegarek — już w pół do siódmej.

— Zostań jeszcze chwilę Paulisiu — prosiła Czajkowska — jeszcze czas do teatru.

— Prawda, że zaczyna się o w pół do ósmej, aie mamy się spotkać z moją przyjaciółką panią sędziną — wstała.

— Czy ciocia pozwoli złożyć sobie wizytę w łóżu? — spytał Roman.

Zapytana spojrzała na córkę, a widząc jej mrużenie potakujące, odpowiedziała:

— I owszem... w czasie pauzy.

Gdy obie panie wyszły, odezwiała się matka:

— Moja Irenko, jeśli chcesz do teatru, musisz się przebrać... ta sukienka za ciemna.

— Ha, jeśli tego wymaga stanowisko mego brata... zmienię suknię — zaśmiała się wesoło — ale na jaką?

— Weź jasnopopielatą...

— To za uroczysta mamo, wezmę tę z jedwabiu surowego... idź Romek do siebie.

— Zaraz... tylko nie marudź, bo jestem głodny i chciałbym coś zjeść przed teatrem.

— I ja głodna, a gdzie pójdziemy?

— Chwalono mi restaurację „pod Obrazem“... tylko spiesz się, Irenko, jeszcze biletów nie mam.

Irenka tak się pospieszyła z ubraniem, że dziesięć minut przed siódmą byli już przed restauracją „pod Obrazem“.

Weszli do ładnej, względnie czystej sali, w której kilku starszych panów z namaszczeniem piło piwo. Gdy usiedli, przyjemny, wesoły chłopak w zielonym fartuchu, nie czekając wezwania, przyniósł kilka arkuszków bibuły i nakrył stół, pytając:

— Bomba i małe. Czy tak?

— Chciałbym coś zjeść, daj mi spis potraw.

— O, kolacyi jeszcze niema.

— Ale zawsze można coś dostać gorącego do jedzenia.

— Nie, proszę pana.

— Zawołaj mi subiekta... zaraz!

— Proszę pana! — wołał chłopak — stół piąty!

W drzwiach bocznych stanął blondyn, ładny, do brzo odzwyniony młodzieniec, z twarzą spokojną i jasną.

— Który stół, Bolku!?

— Piąty.

Zbliżył się wolnym, miarowym krokiem i spytał uprzejmie:

— Co państwo rozkażą?

— Chcielibyśmy zjeść kolację, ale zaraz... przed teatrem.

Pomocnik handlowy z wolna wyjął zegarek, spojrzął i spokojnie odpowiedział:

— Za siedm minut kolacya.

— Ale nam spieszy się.



— „Czy wy dla publiczności, czy publiczność dla was“.

— To trudno... kuchnia otwiera się o siódmej godzinie, ani minuta później, ani wcześniej.

— Musicie jednak mieć coś gotowego, daj pan — niecierpliwł się Roman.

— O siódmej.

— Więc daj pan befsztyk, kotlet, sznycel...

— I owszem, ale od dziesiątej do jedenastej, mogą być zamówieni przy kolacyi.

— Pan chyba żartuje, czy wy dla publiczności, czy publiczność dla was?

— To trudno, ażebyśmy się stosowali do gustów publiczności, nie byłoby i chwili spokoju.

Roman rozśmieszył ten sposób prowadzenia interesu i powiedział wesoło:

— Niech żyją zasady! A coś zimnego można dostać?

— I owszem. Szynka, kiełbasa, sardynki...

— Daj pan mieszaninę.

— Zaraz.

— A co, Irenko, jak ci się podoba ta właściwość, a raczej osobliwość Krakowa? Od godziny X do godziny Y kuchnia na klucz i płać, co chcesz, nic nie dostaniesz.

— Tak, to oryginalne; a u nas niema stałych godzin?

— Są; i n. p. obiady wydają się od tej do tej godziny, ale przed i po obiedzie dostaniesz wszystkiego *à la carte*.

— Pewno i tu, Romku.

Subjekt wniósł mieszaninę i mówił uprzejmie:

— Zanim państwo zjecie mieszaninę, otworzą kuchnię — spojrzął na zegarek — za trzy minuty kolacya.

— Proszę pana, a jak z obiadem?

— Od pierwszej do w pół do trzeciej, o ile starczy porcy.

— A po pół do trzeciej?

— Kuchnia zamknięta do siódmej.

— A interes idzie?

— Doskonale.

— A publiczność się nie skarży? nie odstręcza się?

— Przyzwyczailiśmy publiczność, a komu się nie podoba, tego nie zmuszamy.

— Jeszcze tego brakowało — zaśmiał się Roman — jednak przejezdni nie znają waszych zasad, czy nie robicie jakiego ustępstwa?

— Nam nie zależy na przejezdnych, mamy dosyć stałych gości...

— Więc to salon dla znajomych? — zażartował Roman.

— Płacących gotówką — zaśmiał się subjekt — dla pana bomba, dla pani tulipan, czy tak?

— Dobrze... i rachunek.

Sala poczęła się napełniać, a przy bocznych stoliku zasiadło trzech panów w podeszłym wieku. Jeden z nich siwy, przyglądał się piwu do światła, postawił bombę i spytał tonem pełnym oczekiwania wyroku:

— Panie konsyliarzu, jakie dziś piwo?

Konsyliarz, mąż słuszny, tęgi, z twarzą jowialną, wydał usta lekceważąco i rzekł:

— Hm... piwo? Powiem radcy to, co wczoraj; piwo nie posiada właściwej temperatury... za zimne. Jeszcze najlepsze pod „Palmą“.

— Tam nie chodzę — odpowiedział stanowczo radca — hej, Staś! ogrzewacze!

Gdy Roman z Ireną wychodzili, chłopak przyniósł owemu radcy rurkę blaszaną, z gorącą wodą do ogrzania piwa.

— No, Irenko, jak ci się podobało? — spytał idąc w stronę teatru.

— Oryginalne; ale że taki handel idzie?

— I będzie szedł, jak długo Kraków jest prowincjonalnem miastem, bo podtrzymuje go tradycja i szczupła ilość mieszkańców, znających się wzajemnie. Czy zauważyłeś, że każdy z wchodzących witał dawniej przybyłych, to podaniem ręki, to ukłonem z uśmiechem, to znów ceremonialnie. Oni wszyscy się znają i wiedzą jaką rangę piastują.

— Ach, Romek, jakie nudne życie — westchnęła Irena.

— Niechby i nudne było, ale żeby można żyć — a widząc jej pytające spojrzenie — żyć, to znaczy zarabiać, mieć posadę, uspokoić mamę.

— No, a ta co w banku?

— Gruszki na wierzbie... obiecał, ale to może być za rok, za dwa...

— I co ty zrobisz? — zaniepokoiła się.

— Poszukam innych dróg, przecież na radcach nie kończą się ludzie.

— I ja myślę — uśmiechnęła się — zresztą za mało znasz stosunki tutejsze. Za miesiąc, za dwa, poznasz innych ludzi, sprawy tutejsze i znajdziesz miejsce.

— Zapewne, ale ta niepewność zatruwa mi życie.

— Romek, a to co nowego? — zaśmiała się — coś tak tragicznego brak posady?

— Nie o mnie chodzi, ale o was.

— Uspokój się, już my sobie poradzimy, a póki są pieniądze na życie, czy warto się truć i zamartwiać?

— Prawda! — uśmiechnął się z pewnym przymusem — dziś zabawimy się. Zaczekaj tu na mnie — wskazał miejsce przy filarze w gmachu teatru — kupię bilety.

(Ciąg dalszy nastąpi).